

Sekretarz stanu USA Madeleine Albright z ministrami spraw zagranicznych Janem Kavanem, Janosem Martonyi i Bronisławem Geremekiem po podpisaniu dokumentów stwierdzających przyjęcie Czech, Węgier i Polski do NATO, Independence, 12 marca 1999 r.

Droga do Independence

Jerzy Koźmiński, były ambasador Polski w USA, o tym, jak wchodziliśmy do NATO.

JERZY BACZYŃSKI: – Obaj byliśmy wtedy w tym samym miejscu: 12 marca 1999 r., miejscowość Independence, Missouri, godz. 12.05. To wtedy Madeleine Albright podniosła w górę teki z podpisanymi przed chwilą dokumentami stwierdzającymi przyjęcie do NATO Polski, Węgier i Czech. Stało się! Bardzo to było podniosłe, wzruszające. Ale właściwie dlaczego 12 marca i dlaczego Kansas City, bo Independence jest już dzielnicą tego miasta?

JERZY KOŹMIŃSKI: – Do końca 1998 r. parlamenty wszystkich 16 krajów NATO już ratyfikowały decyzję o poszerzeniu Sojuszu. Finałem tego procesu musiał być akt złożenia dokumentów akcesyjnych na ręce sekretarza stanu, ponieważ Stany Zjednoczone, od chwili utworzenia NATO, są ich depozytariuszem. Pierwotnie uroczystość miała się odbyć w Waszyngtonie, w Departamencie Stanu, z udziałem ambasadorów krajów-kandydatów, ale wydarzenie było zbyt ważne, historyczne, by potraktować je urzędowo. Sugerowaliśmy, aby nadać mu wyższą rangę i odpowiednią oprawę. Wśród naszych amerykańskich rozmówców pojawił się wówczas pomysł, aby wrócić do genezy NATO, czyli 1949 r. Prezydentem był wtedy Harry Truman. Po zakończeniu jego misji, jako pierwszemu byłemu prezydentowi, Kongres ufundował bibliotekę jego imienia, która znajduje się w miejscowości Independence.

Ona się naprawdę tak nazywała: „Niepodległość”? Ta nazwa nie została nadana później?

Tak, nazywała się Independence. Truman spędził tam dzieciństwo i chodził do szkoły.

A data? Teraz już podręcznikowa: właśnie 12 marca Joe Biden przyjmuje w Białym Domu polskiego prezydenta i premiera.

Data była związana ze słynnym przemówieniem Trumana, który 12 marca 1947 r. w amerykańskim Kongresie ogłosił doktrynę powstrzymywania ekspansji Związku Radzieckiego. Tak zaczęła się zimna wojna; a pół wieku później, z naszym udziałem, w Independence został ogłoszony jej koniec.

Pamiętam też, że biurko Trumana, na którym był podpisywany akt akcesyjny, zostało wyciągnięte z muzeum. Symbole, symbole... Taki był finał, a kiedy tak naprawdę zaczęła się ta polska droga do NATO? Pytam, bo pan był uczestnikiem tej historii: najpierw w rządzie Tadeusza Mazowieckiego jako szef sztabu wicepremiera Leszka Balcerowicza, potem jako wiceminister spraw zagranicznych, od 1994 aż do 2000 r. ambasador RP w USA. Przypomnę, że Polska jeszcze do lipca 1991 r. była przecież członkiem Układu Warszawskiego. Znalazłem nawet wypowiedzi pierwszego ministra spraw zagranicznych niepodległej już Polski Krzysztofa Skubiszewskiego, że Polska nie ma intencji wstępowania do Paktu. Kiedy to członkostwo pojawiło się już jako oficjalny postulat nowych polskich władz?

Tuż po historycznym przełomie w 1989 r. polskie władze nie chciały antagonizować ZSRR. Tam również dokonywały się zmiany w kierunku demokracji, gospodarki rynkowej i poprawy relacji z Zachodem, choć dalszy ciąg tych przemian wcale nie był pewny. Wydarzenia biegnęły niesłychanie szybko i po naszej, i po tamtej stronie. 8 grudnia 1991 r. Rosja, Ukraina i Białoruś tworzą tzw. Wspólnotę Niepodległych Państw, do której 21 grudnia dołączyła osiem kolejnych republik poradzieckich. 26 grudnia formalnie rozpada się Związek Radziecki. Polska wyciąga z tego wnioski. Już we wrześniu 1991 r., po sierpniowym puczu Janajewa, podczas

swej wizyty w USA premier Jan Krzysztof Bielecki wygłasza w Atlantic Council przemówienie, w którym stwierdza, że istotnym filarem jednoczącej się, bezpiecznej Europy powinno być „rozszerzenie parasola NATO”, tak aby znalazły się pod nim kraje Europy Środkowej i Wschodniej. Po kilku miesiącach, w 1992 r., rząd Jana Olszewskiego oficjalnie deklaruje nasz zamiar wstąpienia do Paktu. Tę wolę potwierdza nowa premier Hanna Suchocka podczas swej wizyty na początku października '92 w kwatery głównej NATO.

Już wiemy, że ta droga do Independence zajmie jeszcze siedem lat. Czy przez ten czas wszystkie rządy trzymały się tej linii? Przecież w Polsce to był okres ogromnych wstrząsów politycznych, rozpadu kolejnych partii, rządów, koalicji.

W różnych środowiskach trwały dyskusje, jak najlepiej zapewnić Polsce trwałe bezpieczeństwo w kształtującym się na nowo układzie międzynarodowym. Obok opcji atlantyckiej pojawiały się pomysły pójścia drogą fińską, utworzenia NATO bis czy też konfederacji regionalnej. Ale debaty skończyły się de facto po wyborach parlamentarnych z września 1993 r., kiedy kierownictwo zwycięskiego SLD jednoznacznie zadeklarowało, że w interesie Polski jest przystąpienie do NATO.

Rozumiem, że wcześniej do „postkomunistów” nie można było mieć w tej sprawie pełnego zaufania.

Od jesieni 1993 r. to już była prawdziwa sztafeta. Dość powiedzieć, że w ciągu mojego sześciolatniego pobytu w Waszyngtonie gościliśmy czterech ministrów spraw zagranicznych, czterech szefów resortu obrony narodowej, czterech premierów i dwóch prezydentów. Ale w sprawach polityki zagranicznej, zwłaszcza w kwestii przystąpienia do NATO, nie było najmniejszego odchylenia od wytyczonej strategii.

Warto dzisiaj, przy tej głębokiej polaryzacji, z nostalgią przypomnieć, że był taki czas, kiedy istniał konsens polityczny wokół racji stanu.

I to było również bardzo ważne dla naszych amerykańskich partnerów.

To teraz przejdźmy na drugą stronę. Polska jest już gotowa, politycznie i społecznie przekonana, składa deklarację. No, ale do tanga trzeba dwojga. Jaki był punkt wyjścia, jeśli chodzi o Zachód, zwłaszcza USA? Bo przecież ci pukający do drzwi NATO nieśli ze sobą również swoją historię, geopolitykę, zapóźnienia, lokalne konflikty.

Rzeczywiście, na tym etapie znacznie większe było zrozumienie dla naszego zamiaru wejścia do EWG, późniejszej Unii Europejskiej, niż do NATO. Tym, co wyraźnie przyspieszyło proces rozszerzenia Sojuszu i nadało naszym działaniom charakter kampanijny, była wizyta Borysa Jelcyna w Warszawie w końcu sierpnia 1993 r. i jej bezpośrednie następstwa.

Słynna wizyta, podczas której podobno Wałęsa upił Jelcyna.

Niezależnie od okoliczności najważniejsze było to, że w wspólnym komunikacie pojawiło się zdanie, które wyrażało brak sprzeciwu Rosji wobec polskich aspiracji na rzecz uzyskania członkostwa w NATO. Komunikat wywołuje poruszenie na Zachodzie, którego politycy nie są przygotowani na taki rozwój sytuacji. Ale dwa tygodnie po wizycie w Polsce Borys Jelcyn pisze list do przywódców NATO, w tym do Billa Clintona, w którym wycofuje się z warszawskiej deklaracji i zdecydowanie przeciwdziała poszerzeniu NATO. Jednocześnie oświadcza, że Rosja jest gotowa udzielić wspólnych z NATO gwarancji bezpieczeństwa dla krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Powstaje wówczas realne zagrożenie, że polska droga do Sojuszu zostanie zablokowana. Nasza dyplomacja rusza z szeroką kampanią; domagamy się jasnej deklaracji ze strony NATO, głównie USA, że Polska zostanie członkiem Sojuszu. Zachód i Stany Zjednoczone znajdują się między dwiema

przeciwstawnymi siłami: Rosją i krajami Grupy Wyszehradzkiej (Czechy, Słowacja, Węgry). Wówczas w Waszyngtonie dojrzeła koncepcja „Partnerstwa dla pokoju”.

To była już prezydentura Clintona?

Tak, to był pierwszy rok Billa Clintona. „Partnerstwo” jest pomyslane jako rozwiązanie kompromisowe – żeby odpowiadając na sprzeciw Rosji, de facto nie poszerzać NATO, a wychodząc naprzeciw naszym oczekiwaniom, rozwijać w sferze polityczno-wojskowej współpracę poszczególnych krajów Europy Środkowej i Wschodniej z Sojuszem. Jednocześnie oceniamy wówczas „Partnerstwo” jako substytut członkostwa.

Że to taka strefa buforowa, szara strefa bezpieczeństwa?

Tak, ale przed szczytem NATO w Brukseli, planowanym na styczeń 1994 r., Stany Zjednoczone chcą jednak pozyskać kraje Grupy Wyszehradzkiej dla koncepcji „Partnerstwa”. Do Polski przybywa ówczesna ambasador USA przy ONZ Madeleine Albright, która jest jednocześnie członkiem gabinetu Clintona, także gen. John Shalikashvili, szef połączonych sztabów, gruzińsko-polskiego pochodzenia, urodzony w Warszawie...

Madeleine Albright pochodzenia czeskiego...

A trzecim członkiem delegacji jest Charles Gati urodzony na Węgrzech – taka symbolika. I jadą, żeby nas przekonać. Podczas ich wszystkich rozmów w Warszawie „Partnerstwo” spotyka się z krytycznym przyjęciem. Sytuacja jest bardzo niewygodna dla Billa Clintona. Wybory wygrał na hasle „Economy, stupid!”, sprawy zagraniczne miały zejść na dalszy plan, gdyż nastąpił rozpad ZSRR i bipolarnego układu w świecie. Republikanie zarzucają mu brak wizji i pasywną postawę w polityce zagranicznej.

W kwietniu 1993 r., podczas uroczystości otwarcia muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, jeszcze niedoświadczony w polityce zagranicznej Bill Clinton spotyka się z asertywnymi apelami, głównie ze strony Václava Havla i Lecha Wałęsy, aby poszerzyć NATO. Wezwania te robią na nim duże wrażenie. Równoległe amerykańska Polonia rusza z wielką kampanią nacisków. Biały Dom jest zalewany listami od obywateli-wyborców polskiego pochodzenia. Kluczową rolę w kampanii odgrywa Jan Nowak-Jeziorański, podobnie zresztą jak i w kolejnych latach. W sprawę poszerzenia NATO angażuje się publicznie Zbigniew Brzeziński, niezwykle wpływowa postać w Waszyngtonie. Wszystko to powoduje, że w styczniu Bill Clinton przyjeżdża na szczyt NATO do Brukseli już otwarty na poszerzenie Sojuszu, a dwa dni później w Pradze, w obecności prezydentów Grupy Wyszehradzkiej, wypowiada pamiętne zdanie na konferencji prasowej.

Proszę przypomnieć to zdanie.

Mówi, że sprawa rozszerzenia NATO „to nie jest kwestia czy, tylko kiedy i jak”. I to jest przełom, chociaż oczywiście „kiedy” i „jak” stanowią kolejne wyzwania.

Przypomnijmy sobie więc jeszcze raz argumenty Zachodu, Stanów Zjednoczonych przeciwko rozszerzeniu NATO.

Bo my dzisiaj, przede wszystkim w związku z Ukrainą, słyszymy jakby echo tamtych obaw. Poczynając od najważniejszego: nie drażnić Rosji.

Na pierwszym miejscu rzeczywiście była kwestia Rosji. Aby poprzez poszerzenie NATO nie dawać argumentów nacjonalistom straszącym wizją upokorzenia i otoczenia Rosji przez Zachód. W odpowiedzi na te obawy zrodziła się koncepcja „paralelizmu”, którą pierwszy sformułował prof. Brzeziński, polegająca na tym, żeby budować specjalne relacje NATO–Rosja, a równoległe rozwijać proces rozszerzania NATO.

Czyli wciągać do NATO postradzieckie armie.

Tak, nasi koledzy z Pentagonu traktowali to wówczas jako poważny problem; pytali, jak zintegrować siły zbrojne krajów aspirujących do NATO z istniejącymi siłami Sojuszu. ▶

► **Przecież w tych naszych wojskach byli wyłącznie oficerowie Układu Warszawskiego, często wykształceni w Rosji.**

No i sprzęt – gorszej jakości i niekompatybilny, plus odmienne systemy dowodzenia. Kolejny problem to realne albo potencjalne napięcia między aspirującymi krajami a ich sąsiadami, jak: Węgry–Rumunia, Słowacja–Węgry, Polska–Ukraina, Polska–Rosja. Konkluzja była taka, na początku zwłaszcza w Pentagonie, że oto mamy przyjąć kraje, które niekoniecznie wniosą wiano dodatnie, czyli poszerzy się strefa do obrony przy jednoczesnym osłabieniu jakości Sojuszu. Również dlatego, że nowi członkowie nie będą w stanie sfinansować swojej integracji z NATO, a europejscy sojusznicy się do tego odpowiednio nie przyłożą. Były też argumenty o charakterze generalnym: po co w ogóle poszerzać NATO, skoro rozpadł się Związek Radziecki, a przecież Sojusz był stworzony dla obrony przed ZSRR.

Pamiętam nawet taki, opublikowany w POLITYCE, który Strobe Talbotta, zastępcy sekretarza stanu USA, którego nie wykluczał poszerzenia NATO... o Rosję.

No i jeszcze to zasadnicze pytanie: jeśli miałyby dojść do realnego zagrożenia w Europie, to dlaczego właściwie mielibyśmy ryzykować życie naszych żołnierzy w obronie Warszawy czy Pragi? Czy społeczeństwo amerykańskie jest na to przygotowane? Zawsze można było wykazać, że społeczeństwo nie jest przygotowane.

A ja pamiętam, że przeciwny rozszerzeniu był też bardzo wpływowy w Stanach dziennik „The New York Times”.

A także bardzo wpływowa społeczność żydowska.

Był pewien problem w środowiskach akademickich zajmujących się sowietologią. Wielu uważało, że krucha demokracja rosyjska, która jest jakimś cudem po dekadach ZSRR, wymaga pielęgnowania i ciągłego wsparcia. Nie można więc dawać paliwa politycznego jej przeciwnikom. Po drugie, byli przyzwyczajeni do tego, że świat jest bipolarny: tam Moskwa, a tu Waszyngton. I że nasze kraje w Europie Środkowej są podporządkowane logice tych relacji. Po trzecie, niebagatelny był fakt, że wielu sowietologów pozostawało w stałych kontaktach ze swoimi akademickimi partnerami w Rosji, którzy aktywnie wzmacniali krytycyzm w kwestii poszerzenia NATO. Myślę, że w „New York Timesie” główni publicyści w dużym stopniu poddawali się takiemu myśleniu. Ale już w „Washington Post” było inaczej, tam rozszerzenie popierano, w znacznym stopniu ze względów moralnych i historycznych, w tym także w uznaniu zasług Polski dla zmian, jakie uruchomiła w Europie w 1989 r.

Jeśli zaś idzie o środowiska żydowskie, to pewna ich część chciała przy okazji poszerzenia NATO załatwić sprawę restytucji mienia żydowskiego w Polsce oraz w innych krajach regionu. Odpowiedzieliśmy, że zajmujemy się w pierwszej kolejności restytucją mienia komunalnego gmin żydowskich, co było znacznie łatwiejsze niż rozwiązanie problemu mienia indywidualnego. Po pewnym czasie Sejm uchwalił odpowiednią ustawę, co sprawiło, że ta sprawa nie zahamowała naszych starań o członkostwo w NATO. Jednocześnie zadeklarowaliśmy, że polskie władze zajmą się wyjątkowo trudną kwestią mienia indywidualnego w nieodległym czasie.

To wróćmy teraz do sprawy, która mogła nas zablokować, czyli rozmów NATO–Rosja. Na ile realne było niebezpieczeństwo dogadania się między USA a administracją Jelcyna i stworzenia jakiegos członkostwa NATO drugiej kategorii?

To była rzecz, której na pewnym etapie najbardziej się obawialiśmy i w związku z którą doszło do napięć między nami a administracją amerykańską.

Czego Rosjanie żądali, jakie stawiali warunki?

Przypomnę, że Rosjanie pryncypialnie byli przeciwni poszerzeniu NATO i powtarzali to na każdym kroku. Widząc jednak naszą determinację i zdecydowanie kierownictwa USA, chcieli

maksymalnie opóźnić poszerzenie i osłabić jego polityczne oraz militarne skutki. Ich pierwszym żądaniem było, aby w przyszłym porozumieniu NATO–Rosja znalazł się zakaz rozmieszczania broni jądrowej na terenie nowych państw członkowskich. W grudniu 1996 r. NATO przyjęło jednostronną deklarację w tej kwestii. Nam się ona nie podobała; nie dlatego, żebyśmy chcieli posiadać broń jądrową, tylko uważaliśmy, że nie powinno się w ogóle tworzyć takiej kategorii, jak „nowi członkowie NATO”, którzy później mogliby być traktowani inaczej niż dotychczasowa szesnastka. Styczeń, luty i marzec ’97 to miesiące, w których Rosjanie wysuwają kolejne żądania. Wśród nich zakaz korzystania z infrastruktury wojskowej, którą nazywali „pozostałościami po Układzie Warszawskim”. Dotyczyło to także zakazu „przesuwania infrastruktury”, co by oznaczało niemożność przemieszczania urządzeń czy sprzętu służącego wojsku np. z Niemiec do Polski. Wobec tego żądania Amerykanie od początku wyrażali sprzeciw. No i rzecz najważniejsza – zakaz stacjonowania sił NATO na terytorium nowych państw członkowskich.

Wiedzieliście o tych żądaniach?

Tak, muszę przyznać, że nasi amerykańscy partnerzy traktowali nas i nasze opinie bardzo poważnie. Oczywiście formalnie byliśmy poza negocjacjami NATO/USA–Rosja, ale od samego początku przyjęli wobec nas zasadę transparentności. Przede wszystkim Daniel Fried i Strobe Talbott, z którymi mieliśmy bardzo dobre relacje. Informowali nas o kolejnych krokach, dyskutowaliśmy z nimi problemy i rozwiązania, jakie się po kolei wyłaniały. No i ostatecznie w porozumieniu NATO–Rosja w kwestii stacjonowania nie było już „nowych członków”. NATO zadeklarowało, że będzie realizować swą zbiorową obronę oraz inne zadania „raczej poprzez zapewnienie niezbędnej interoperacyjności, integracji i zdolności do wzmacniania swoich sił, aniżeli dodatkowe, stałe stacjonowanie naczynnych sił bojowych”.

Czyli same nieostre sformułowania.

Dla negocjatorów miały dość konkretne znaczenie. No i istotny był początek tej deklaracji: „W obecnej i dającej się przewidzieć sytuacji bezpieczeństwa...”.

No tak: interpretację można zmienić, jeśli się zmieni sytuacja.

Takie rozwiązanie silnie postulowaliśmy. Choć generalnie w naszych rozmowach z administracją twierdziliśmy, że NATO niepotrzebnie tak daleko się posuwa w swoich deklaracjach. Zarazem jednak wiedzieliśmy, że zawarcie porozumienia NATO–Rosja jest warunkiem uzyskania konsensusu w sprawie poszerzenia Sojuszu, zarówno w USA, jak i wśród europejskich członków NATO.

Ja wśród tych postulatów rosyjskich znalazłem jeszcze jeden, w 1996 r. zgłoszony przez Jelcyna, czyli stworzenia eksterytorialnego korytarza – uwaga, uwaga – między Białorusią a obwodem kaliningradzkim. Oczywiście strona polska to od razu odrzuciła, argumentując, że „nie będzie żadnych powtórek z Hitlera”. Ale to pokazuje, czego Rosjanie próbowali.

Więc jest maj ’97, porozumienie z Rosją zostało zawarte.

I nie spychało nas do członkostwa drugiej kategorii. No i teraz zbliżamy się do końcowego etapu, czyli oficjalnej deklaracji o przyjęciu trzech naszych krajów do Paktu, a potem wielkiej operacji ratyfikacyjnej. Bo cały szkopuł polegał na tym, że do ratyfikacji umowy potrzebna była ogromna większość w amerykańskim Senacie.

67 senatorów.
67 na 100.

Czyli wśród państw NATO poprzeczka legislacyjna była ustawiona najwyżej w USA. To po pierwsze. Po drugie, trzeba było założyć, że nawet niewielka grupa przeciwników poszerzenia może podejmować skuteczne próby zablokowania procesu ratyfikacji

czy też wprowadzać legislacje towarzyszące, które osłabiałyby jej ostateczny efekt. Od początku prowadziliśmy w ambasadzie nieformalną listę senatorów. Wyróżnialiśmy wśród nich pięć grup: tych „za” i zaangażowanych (w pierwszej fazie to było kilka osób), po drugie tych „za”, ale niezaangażowanych, po trzecie tych wahających się „raczej za”, po czwarte tych wahających się „raczej przeciw”, no i po piąte, tych zdecydowanie „przeciw”. Nasz cel był oczywisty: docierać różnymi ścieżkami do każdego senatora indywidualnie, tak aby zmieniać proporcje między poszczególnymi grupami w kierunku dla nas korzystnym.

To było rozpisane osoba po osobie?

Tak. Każdy senator miał wokół siebie od kilkunastu do nawet 50 doradców i asystentów – *staffersów*, bo członek Senatu to poważne stanowisko. Oczywiście z tak liczną grupą osób trudno byłoby pracować. Identyfikowaliśmy więc kluczowych doradców, zwłaszcza od spraw zagranicznych, a także tych o polskich korzeniach. Pamiętaliśmy zarazem, że każdy z senatorów był wyczulony na czynniki lokalne i swoich wyborców, braliśmy je więc pod uwagę w naszej kampanii. Na tym poziomie ogromnie ważną rolę odgrywała Polonia.

W książce ówczesnego korespondenta TVP Tomasza Lisa „Wielki finał” znalazłem barwną opowieść o tym, jak przekonywano senatora ze stanu Delaware, który się nazywał Joseph „Joe” Biden. A pan pamięta tę historię?

Trudno o niej zapomnieć, bo już wówczas senator Biden był bardzo ważnym politykiem. W stolicy Delaware miejscowa Polonia, przy współdziałaniu z naszą ambasadą, zorganizowała wielkie spotkanie poświęcone natowskiemu aspiracjom Polski. Będąc tam *keynote speakerem*, serdecznie podziękowałem zarówno senatorowi Rothowi, który był republikaninem i od początku angażował się w poszerzenie NATO, jak i senatorowi Bidenowi...

Trochę na wyrost, bo podobno on był raczej sceptyczny.

Wtedy dziękowałem mu głównie za stawianie dobrych pytań, które pomagają nam w lepszym przygotowaniu się do członkostwa. Ale najważniejsze, że ostatecznie Joe Biden nie tylko aktywnie zabiegał o rozszerzenie NATO, ale też został bohaterem debaty ratyfikacyjnej. Był jej kluczową postacią; z pasją i skutecznie walczył o pomyślny finał.

A na ile niebezpieczna była dla ratyfikacji sprawa pułkownika Ryszarda Kuklińskiego?

To było ważne – oto bowiem na człowieku, którego w USA postrzegano jako pierwszego polskiego oficera w NATO, nadal w wolnej Polsce ciążył wyrok mający swe korzenie w czasach PRL. Na pewnym etapie kwestia ta stała się bardzo istotna. Do tego stopnia, że był to temat rozmowy w cztery oczy Billa Clintona z Aleksandrem Kwaśniewskim w lipcu 1997 r. Prezydent Clinton podziękował polskiemu prezydentowi za starania, aby rozwiązać ten problem. I rzeczywiście, we wrześniu 1997 r., kilka miesięcy po serii przesłuchań płk. Kuklińskiego w Waszyngtonie, podjęto decyzję o umorzeniu sprawy.

Przesłuchañ przez polskich prokuratorów wojskowych.

Dwóch prokuratorów, których byłem gospodarzem, bez wsparcia ambasady, ponieważ do Waszyngtonu przyjechali tajnie.

Przesłuchania trwały przez kilka dni przy zachowaniu pełnej poufności. Odbływały się w biurze prof. Brzezińskiego, z moim udziałem. Obydwaj byliśmy oficjalnymi świadkami. Przypomniano zarzuty: współpraca z obcym wywiadem, złamanie przysięgi, dezercja. Po przesłuchaniach oraz w toku dalszego postępowania w Warszawie uznano, że płk Kukliński działał w stanie wyższej konieczności. Przekazywał bowiem

do USA dokumenty Układu Warszawskiego o strategicznej wadze. Przestrzegaliśmy Zachód, iż narastająca od lat przewaga sił konwencjonalnych Układu Warszawskiego nad siłami konwencjonalnymi NATO może doprowadzić do militarnej konfrontacji. I gdyby doszło do ataku ze strony ZSRR, to wtedy NATO, zgodnie ze swoją doktryną, musiałoby na terytorium Polski użyć taktycznej broni jądrowej, gdyż nie byłoby w stanie obronić się siłami konwencjonalnymi. Przeciwdziałanie nuklearnemu zagrożeniu dla Polski uznano za zasadniczy motyw działalności płk. Kuklińskiego.

I tak dochodzimy w końcu do kluczowego dnia: 30 kwietnia 1998 r. Głosowanie w Senacie. Jak pan to pamięta?

Pamiętam pełne napięcia kuluarowe rozmowy z senatorami oraz *staffersami*. M.in. spotkanie z senator Barbarą Mikulski; wspólnie z niepokojem oceniliśmy, że sytuacja może przybrać niekorzystny obrót, ponieważ nie widać końca debaty, a wieczorem grupa senatorów, których zdecydowaną większość stanowili zwolennicy ratyfikacji, ma samolotem wojskowym wylecieć do Bośni. Pani senator zainteresowała i ostatecznie start samolotu został przesunięty na późnonocną godzinę. Emocje towarzyszyły nam przez cały dzień, no i w końcu doszło do oczekiwanego od lat momentu: po dziesiątej wieczór zaczęło się głosowanie. Każdy senator osobno wstawał i mówił „tak” lub „nie”. Ostateczny wynik: 80 „za”, 19 „przeciw”, 1 nieobecny. Ogromne uczucie ulgi i radości. Jan Nowak-Jeziorański, który siedział obok na galerii, uściskał mnie i ze łzami w oczach powiedział, że to najszczęśliwsza chwila w jego życiu. Później, schodząc po stopniach Kapitolu, spotkaliśmy Joe Bidena, który zapytał: „Ambassador, are you happy...?”. Złożyliśmy sobie wzajemnie serdeczne gratulacje i podziękowania. Następnego dnia, 1 maja, w sobotę wieczorem, zorganizowaliśmy w ambasadzie „Victory Party”, przyjęcie, na które przyszło ponad 400 osób, by wspólnie z nami świętować to wielkie wydarzenie.

A potem to, od czego zaczęliśmy, czyli już formalność: Independence, Missouri, 12 marca. Jak pan patrzy teraz, z dzisiejszej perspektywy, nie rozczarowaliśmy tych głosujących „za”?

Nie, od początku byliśmy uważani za solidnego sojusznika, braliśmy udział we wszystkich istotnych misjach, a także manewrach, ćwiczeniach i szkoleniach NATO, wielokrotnie będąc ich gospodarzem. Łożyliśmy na obronę wymagane 2 proc. PKB, a w ostatnim czasie wyraźnie powyżej tego poziomu, rozwijając zarazem i modernizując nasze siły zbrojne. Polska od początku zdecydowanie opowiadała się też za polityką „otwartych drzwi” Sojuszu. W 2004 r., przy naszym silnym wsparciu, do NATO dołączyło aż siedem kandydujących wówczas krajów, w tym państwa bałtyckie. Cztery lata później, na szczycie w Bukareszcie, Polska aktywnie zabiegała o przyjęcie mapy drogowej, czyli planu przygotowań Ukrainy i Gruzji do członkostwa w NATO. Zawsze też byliśmy tym krajem, który ostrzegał przed zagrożeniami płynącymi z Rosji. Ale najważniejszy egzamin zdajemy od dnia inwazji Rosji na Ukrainę, udzielając naszemu sąsiadowi bezpośredniego, szerokiego wsparcia, a także odgrywając kluczową rolę w transferze pomocy płynącej z USA oraz innych krajów NATO.

Czy wierzy pan w to, że zobaczymy Ukrainę w NATO?

Mam taką wiarę, Ukraina w pełni zasłużyła na członkostwo w Sojuszu. Ale teraz najistotniejszym wyzwaniem jest pełna mobilizacja Zachodu, aby zapewnić Ukrainie maksymalne wojskowe wsparcie.

ROZMAWIAŁ JERZY BACZYŃSKI



Jerzy Koźmiński – współautor polskiej transformacji gospodarczej i naszej akcesji do NATO. Od 2000 r. prezes zarządu Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności.

© KRYSZTOF WOJCIEWSKI